fabryka słów
WYDAWNICTWO
ADAM PRZECHRZTA
BIAŁE NOCE

ADAM PRZECHRZTA

BIAŁE NOCE

Ilustracje
Jarosław Musiał

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Depozytariusz Chorągwi Archanioła:

- Chorągiew Michała Archanioła
- Białe noce

Rozdział pierwszy

Aspirant Nowicki spojrzał na mnie ze złością i po raz kolejny zażądał wyjaśnień, dlaczego stawiałem opór policji. Nie odpowiedziałem, byłem zajęty: końcem języka dotknąłem obluzowanych zębów – przynajmniej trzy chwiały się solidnie. Czy da się je ocalić? Trudno powiedzieć. No, to akurat nie problem, za parę godzin poinformuje mnie o tym dentysta... Usiłowałem zatamować krwawienie z poharatanej butami antyterrorystów głowy, ale szło mi kiepsko – miałem do dyspozycji jedynie papierowe ręczniki. Starałem się oddychać przeponą, żebra nie chciały współpracować, ani chybi trzasnęło przynajmniej jedno. Obmacałem nos – nie najgorzej, chrząstka była co najwyżej pęknięta.

– Jeśli nie chce pan mówić... – Rozłożył ręce z delikatnym, sugerującym anielską cierpliwość uśmiechem.

Musiał coś zobaczyć w moich oczach, bo chrząknął nerwowo i cofnął się bliżej drzwi. Wiedziałem, że wystarczy mu krzyknąć, za cienką ścianą czaiło się przynajmniej

kilku mężczyzn. Być może ta sama ekipa, która przywiozła mnie na komendę.

– Za dwadzieścia minut – poinformowałem, spoglądając na ścienny zegar.

– Dlaczego nie za dziesięć czy piętnaście? – spytał ironicznie. – Tak pan to sobie precyzyjnie wyliczył?

Spróbowałem się uśmiechnąć, nie dałem jednak rady – rozbite wargi rwały paskudnie, a nawracające, coraz silniejsze zawroty głowy i mdłości sugerowały wstrząs mózgu. Nie miałem siły przekomarzać się z ociekającym pewnością siebie gliniarzem. Zobaczymy, czy za godzinę będziesz dalej taki zadowolony, skurwysynu, pomyślałem mściwie. Łowiłem ciche szmery zza ściany – najwyraźniej dzielni komandosi nie potrafili wytrzymać nawet dwóch minut bez drapania się po dupie. Albo facet się bał, albo chcieli mnie sprowokować i dodać parę siniaków do i tak już imponującej kolekcji. No, ale tutaj, w obecności protokolantki, nie będzie to takie łatwe.

Poczułem, jak kobieta wciska mi w dłoń kolejny kłąb ręczników. Zużyte, całkiem przesiąknięte krwią, wyrzuciłem do podsuniętego kosza. W sumie nic poważnego – rany głowy zawsze krwawią obficie, skóra jest mocno unaczyniona, jednak o ile nie ma jakichś wewnętrznych obrażeń, do wesela się zagoi. Bylebym tylko się nie porzygał, bo jeśli potraktują to jako pretekst do kolejnego lania...

– Gdzie ten lekarz? – mruknąłem.

– Och, myślę, że już jedzie. – Nowicki machnął beztrosko ręką. – Sam pan wie, jak to jest z naszą służbą zdrowia.

– Ale wezwaliście go? – upewniłem się, starając wyraźnie artykułować słowa.

– Oczywiście! – wykrzyknął z udanym oburzeniem.

Zerknąłem na zegar – jeszcze siedem minut.

– Przecież macie tu jakąś apteczkę!

– Gdyby odpowiedział pan na moje pytania...

Zachwiałem się i o mało nie spadłem z krzesła, być może straciłem na moment przytomność. Podtrzymała mnie ciepła, kobieca dłoń – protokolantka.

– Wie pani, pani Basiu – wycedził policjant – tyle się teraz słyszy o AIDS, ta cała krew...

Słyszałem powolne tykanie ściennego zegara. Podniosłem wzrok w górę – trzy minuty. Niezgrabnym ruchem wyłowiłem z marynarki komórkę.

– Wujku? – spytałem.

– Trzymaj się – odpowiedział Maks. – Będę za pięć minut, Margarita jest u mnie razem z...

Nowicki gwałtownym ruchem wyrwał mi telefon.

– Myślisz, że jesteś sprytny, gnoju? – wysyczał.

– Dostatecznie sprytny, żeby załatwić paru skorumpowanych gliniarzy – wymamrotałem. – Czas minął. Chciał pan wyjaśnień? Proszę bardzo. Słyszał pan o pasywnych systemach antywłamaniowych? To ukryte kamery plus oprzyrządowanie. Proszę sobie wyobrazić, że mam coś takiego w przedpokoju. Włączyły się, kiedy ci wasi mołojcy wywalili drzwi. Nie robiłem z chałupy Fortu Knox, więc kamery nie przekazywały nigdzie obrazu, tylko nagrywały, wolałem, żeby przedwcześnie nikt od was tam nie grzebał, stąd moje milczenie. Zawiadomiłem wujka, żeby przyjechał, wyjął film i zaopiekował się żoną. Zdążyłem do niego zadzwonić i zostawiłem włączoną komórkę. Jak to się panu podoba? Nie muszę chyba dodawać, że także nasza urocza rozmowa została nagrana?

Milczał, zagryzając usta. Chyba nie był zachwycony.

– Pytał pan o stawianie oporu policji, więc wyjaśniam: nie stawiałem oporu. W momencie, kiedy wasza ekipa wpadła do mieszkania, leżałem na podłodze, moja żona także. No, ale chłopcy chcieli się zabawić...

– Nic o tym nie wiem! – zapewnił szybko.

– O, zaczyna mi pan wierzyć! – stwierdziłem słodko.

Jednak zdołałem się uśmiechnąć, poczułem, jak pęka ledwo przyschnięty strup, a po brodzie spływa strużka krwi. Zabolało, jednak chyba było warto – pan aspirant nie miał już miny zdobywcy świata. No i ból odwracał uwagę od tych cholernych mdłości. Nie porzygam się. Być może.

– Podsumujmy – kontynuowałem. – Leżałem sobie grzecznie, lecz widocznie coś w mojej pozie mimo wszystko nie spodobało się pańskim ludziom...

– To nie są moi ludzie! – krzyknął, nerwowo przełykając ślinę.

– Spokojnie, wszystko się wyjaśni – mruknąłem dobrodusznie. – Prędzej czy później.

Usłyszałem, że protokolantka wzywa przez telefon lekarza – mądra dziewczyna, lepiej, żeby jeszcze nie wychodziła z pokoju... Nowicki milczał, oddychając szybko jak zaszczute zwierzę; no proszę, a jeszcze nie minęła godzina.

Znowu wahnąłem się w przód, umysł nie kontrolował już mięśni, a może sfiksował błędnik? W sumie nic dziwnego. Protokolantka podtrzymała mnie po raz kolejny. Na nagim przedramieniu poczułem dotyk jej dłoni: dwa, nie – trzy pierścionki. Doszedł mnie zapach jakichś perfum – zmysły rozpaczliwie czepiały się rzeczywistości, walczyłem, aby nie odpłynąć w mrok. Kojący, ciepły, obiecujący zapomnienie. Nowicki przerwał ciszę, ale nie rozumiałem, co mówi – dźwięki dochodziły do mnie niewyraźnie, niczym odfiltrowane przez grubą watę, oparłem się o coś

miękkiego, drobny, twardy przedmiot zadrapał mi czoło, guziki? Cholera, wyświnię jej całą bluzkę. Zaszumiała woda w rurach, ten dźwięk przyniósł pociechę całej naszej trójce, przerwał słowotok aspiranta. Z korytarza dobiegły kroki, lecz te niosły dobrą wieść tylko dla mnie. Dla mnie. Załomotało przewrócone krzesło – policjant chciał wybiec z pokoju, nie zdążył. W progu stanął Maks w towarzystwie dwóch nieznanych mi mężczyzn. Prawnik i...?

Nowicki rozwiał moje wątpliwości, stanął na baczność.

– Za godzinę u komendanta – polecił tamten drugi ochrypłym, zdartym głosem.

Pijak? Nie, raczej palacz. Taki, co to wypala przynajmniej dwie paczki dziennie. Na oko pod sześćdziesiątkę. Za młodu pewnie go nie informowali o szkodliwości palenia...

– Możemy już iść? – spytał Maks.

– Oczywiście.

– Zajmij się dziewczyną – wymamrotałem, schodząc powoli po stopniach. – Wiesz, protokolantką. Te chujki ostro pogrywają.

Wujek podtrzymywał mnie pod łokieć, drugą ręką czepiałem się poręczy. Pewnie karetka czekała przed komendą, ale pozwolił mi zachować odrobinę kontroli, wiedział, jak bardzo tego potrzebuję, nie zawołał sanitariuszy z noszami.

– Spokojnie, dopilnuję wszystkiego – obiecał. – Ci trzej jeszcze dzisiaj zostaną zawieszeni. Nie wiem, co zrobi z Nowickim komendant, ale pewnie go nie pogłaszcze.

– Było ich pięciu! – warknąłem.

– Nie, tylko trzech – sprostował. – Dwóch pozostałych cię uratowało, nie pozwolili tamtym dalej bić. To

znaczy po tym, jak powiedziałeś, co sądzisz o mamusi dowódcy grupy...

– Nie miałem wyjścia, uderzył Margaritę. Co z nią?

– A co ma być? – Maks wzruszył ramionami. – Boi się o ciebie.

– Pytałem, czy nic jej nie jest!

– Dostała tylko po buzi, przeżyje.

– Spieprzyłem sprawę, powinienem...

– Opowiesz mi o tym później – uciął. – Teraz mamy ważniejsze sprawy, na przykład zbadać, w jakim jesteś stanie.

Strumień powietrza wpadający przez otwarte okno przyjemnie chłodził twarz, uspokajająco szumiały opony. Po trwających dwie godziny badaniach lekarz, znajomy Maksa, wypisał mnie ze szpitala na moją prośbę. Nie było źle – lekki wstrząs mózgu, pęknięte żebro, musiano mi założyć kilka szwów na głowie.

– Bydlaki! – wycedziła z pasją Wika, docisnęła pedał gazu, przyspieszając łagodnie.

Prowadziła wyjątkowo ostrożnie, a przeważnie pani prokurator jeździła jak rajdowiec. Poznaliśmy się dawno temu w rodzinie zastępczej. Przez długi czas nie utrzymywaliśmy ze sobą żadnych kontaktów, i ja, i moje „rodzeństwo" – miałem jeszcze trzy „siostry" i „brata" – chcieliśmy jak najszybciej zapomnieć o Siwym, naszym opiekunie, a znajome twarze przywoływały na jawie sceny, które i tak powracały do nas w koszmarach. Siwy lubił małe dziewczynki i nie znosił, kiedy ktoś przeszkadzał mu w jego drobnych przyjemnościach. Byłem najstarszy,

więc próbowałem. Skończyłem w szpitalu, a Siwemu odebrano opiekę nad nami, później pojawił się Maks.

– Nie zasypiaj! – odezwała się ostro Wika, widząc, że przymykam oczy.

– Gap się przed siebie, a nie w lusterko – burknąłem.

– Ale jak zaśniesz...

– To nic mu się nie stanie – Maks wszedł jej w słowo. – Lekarz pozwolił.

Syknąłem, kiedy wóz podskoczył na wyboju. Skręciliśmy w leśną drogę.

– Jak... – zawahałem się przez moment – sytuacja?

– Wszystko pod kontrolą – odparł spokojnie Maks. – Jak już mówiłem, ci gliniarze zostaną jeszcze dzisiaj zawieszeni, na wszelki wypadek i tak będą pod obserwacją. Domu pilnują chłopcy Marka. A cała sprawa wyjaśni się jutro lub pojutrze.

– Myślisz, że to...

– Zobaczymy – uciął.

Westchnąłem, z Maksa trudno było cokolwiek wyciągnąć, a ja nie miałem nastroju, aby naciskać, nie ta kondycja. Chciałem się tylko upewnić, czy Małgorzata jest bezpieczna, i spać. Znużenie sączyło się z każdej komórki mojego ciała, po takim laniu to normalna reakcja – organizm chce się zregenerować psychicznie i fizycznie.

– Ale Centralna Grupa Realizacyjna ma zwalczać terrorystów, a nie...

– CGR chroni świadków koronnych, ma to w programie. Po prostu potrenują sobie. – Wzruszył ramionami.

Wika zaparkowała tuż przy wejściu, zanim zdążyłem rozpiąć pas, do samochodu podbiegła Małgorzata, pomogła mi wygramolić się z auta.

– Kochany... – Wtuliła się w moje ramiona, poczułem, że drży od wstrzymywanego łkania.

– Już wszystko w porządku – wyszeptałem bezradnie. – Wszystko w porządku.

W domu mignęły mi zatroskane twarze „sióstr" i Marka, ale żadne z nich nie podeszło, żeby się nade mną pożalać, widać Maks kazał dać mi spokój. No i dzięki Bogu! Inna sprawa, że pewnie jutro skończy się okres ochronny.

– Przepraszam – wymamrotałem, siadając ciężko na łóżku. – Margarita, ja...

Położyła mi palec na ustach, rozebrała delikatnie.

– Śpij – powiedziała. – Posiedzę przy tobie.

Zasnąłem.

Obudził mnie warkot ruszającego sprzed domu samochodu, powoli, niechętnie podniosłem opuchnięte powieki, wpadające przez okno promienie słońca malowały jedną ze ścian w wesołe, jasne plamy. Zerknąłem na zegarek – dochodziło południe. Ostrożnie skręciłem głowę w lewo, potem w prawo, ból był mniejszy, niż się spodziewałem. Napinałem i rozluźniałem mięśnie, zaczynając od największych, odpuściłem sobie klatkę piersiową – lepiej na razie uważać na żebra. Wreszcie usiadłem, podkładając pod plecy kilka poduszek.

Małgorzata spała w fotelu. Jej policzek zakrywała fala kasztanowych włosów, słońce zapalało w nich błyski o barwie ciemnego złota. Odgarnąłem ciężkie sploty, dotknąłem opuszkami palców rozcięcia w kąciku ust i po raz kolejny obiecałem sobie, że skurwysyn, który uderzył moją żonę, drogo za to zapłaci.

– Wiem, że się obudziłeś – rzuciła groźnie.

– Przyznaję się do winy – odparłem z lekkim uśmiechem.

Opuchlizna z warg trochę sklęsła, mogłem sobie na to pozwolić.

– Jak się czujesz, kochanie? – spytała niespokojnie.

– Nie jest źle – zapewniłem. – Żadnych obrażeń wewnętrznych, nawet to żebro już mniej boli.

– Pomóc ci się umyć?

– Dam sobie radę – mruknąłem. – Jakby co, to cię zawołam.

Z ciężkim westchnieniem podniosłem się z łóżka, ruszyłem do łazienki. Nie było mowy o prysznicu czy kąpieli w wannie, pewnie się sporo nagimnastykuję, ale wolałem, żeby Małgorzata nie oglądała moich siniaków. Jeszcze nie teraz.

Sprawdziłem językiem zęby – nadal się ruszały, choć jakby nieco mniej. Przepłukałem usta i natarłem dziąsła jakimś żelem, dentysta poinformował mnie, że nie mogę gryźć twardych rzeczy i że trzeba czekać. Też mi diagnoza... Zrzuciłem piżamę i obejrzałem się w lustrze. No ładnie... Wyglądałem jak ofiara zderzenia z ciężarówką: posiniaczona twarz przecięta wąską, ładnie zagojoną, ale teraz wyraźnie widoczną blizną – prezent od pewnej Hinduski – szwy na głowie i owinięte bandażem żebra, napuchnięte, sine przedramiona.

Trzasnęły drzwi, do środka weszła Małgorzata.

– Odwróć się – poprosiła.

– Nie wołałem cię! – warknąłem.

– Sama się zawołałam, jestem twoją żoną – przypomniała. – Nie jest tak źle, jak się obawiałam. No i robisz się marudny, widać wracasz do zdrowia – dodała kwaś-

no. – Siadaj. – Popchnęła mnie lekko, poczekała, aż usadowię się na brzegu wanny.

Przymknąłem oczy, poddając się pieszczocie mokrego ręcznika, po chwili Małgorzata wytarła mnie dokładnie, ucałowała największe siniaki.

– Może by tak dokładkę? – zaproponowałem, obejmując ją w talii.

– Nic z tego! – odburknęła, odskakując zwinnie. – Musisz się oszczędzać.

Przez moment poczułem przypływ nadziei, może jej choroba nie jest aż tak poważna? Zacisnąłem zęby, nie było sensu dywagować, jeszcze tydzień, dwa i badania wszystko wykażą.

– Chodźmy do jadalni, pewnie już wszyscy czekają – powiedziała.

Wsunąłem kapcie na bose stopy i narzuciwszy szlafrok, poczłapałem do drzwi. Jak trzeba, to trzeba. I tak nie uniknę rozmowy z „rodziną".

Stanąwszy w progu, jęknąłem. Byli tu wszyscy: Maks z żoną, Davidoff, dziewczyny i Marek. Komplet.

Przysiadłem przy stole z naburmuszoną miną, westchnąłem cierpiętniczo.

– Jak się czujesz? – spytała Anita.

Jak zwykle wyglądała znakomicie – biała sukienka eksponowała smukłe nogi, podkreślała opaleniznę. No i nic dziwnego, Anita była modelką. Podobnie jak dwie inne moje „siostry".

– Porozmawiamy o tym później – zdecydował Maks. – Widać, że żyje i ma się nieźle. Opowiedz, co się stało – zwrócił się do mnie. – Z detalami.

Zerknąłem na Małgorzatę, wolałbym nie mówić o jej chorobie, ale jeśli mam wszystko wyjaśnić... Odpowie-

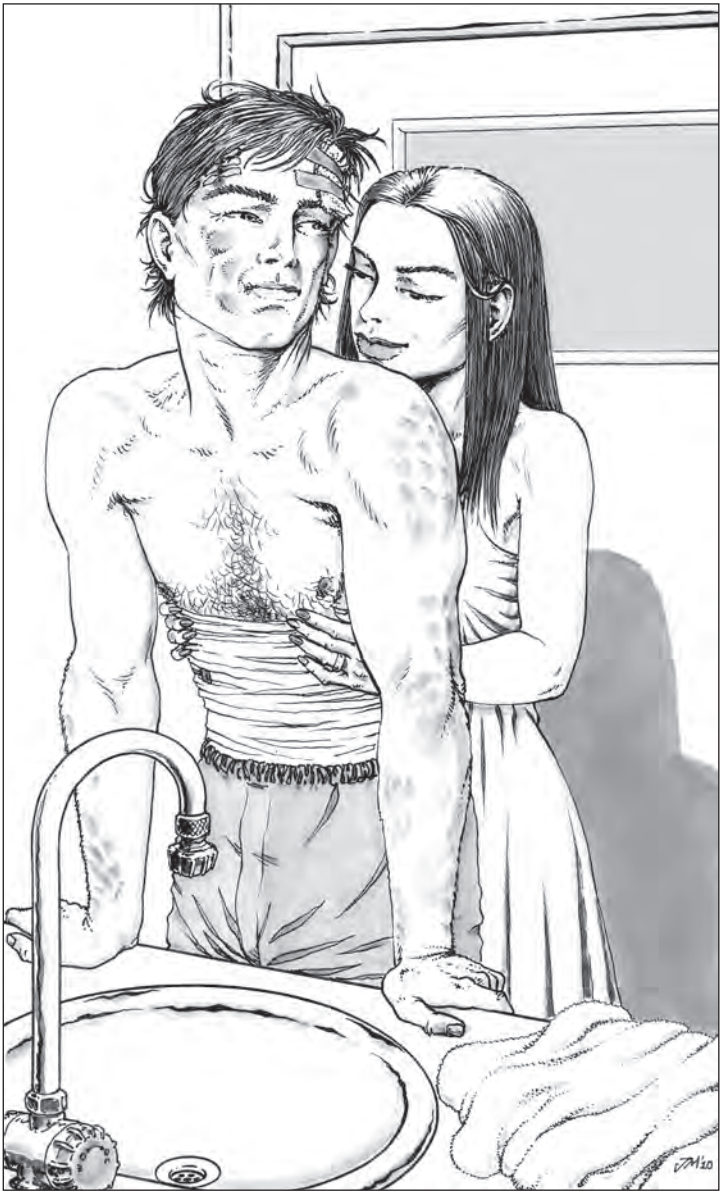

działa mi spokojnym spojrzeniem, w tym momencie twarz mojej żony mogłaby służyć jako ilustracja z podręcznika pokera dla zaawansowanych. Niech to szlag...

– Margarita jest chora – zacząłem nieswoim, zgrzytliwym głosem. – Nie za bardzo wiadomo, co to jest, trwają badania. Dlatego nic nie mówiliśmy. Objawy są... niepokojące. Nagłe drżenie rąk, osłabienie, utrata wagi. Nie będę wchodził w szczegóły, ale te symptomy są dość charakterystyczne. Istnieje kilka, może kilkanaście jednostek chorobowych, do których mogą pasować, niestety, najbardziej pasują do choroby Lou Gehriga. U nas nazywa się to stwardnieniem zanikowym bocznym albo ALS. Ale nie... nazwa jest ważna – wydusiłem z trudem. – Choroba Lou Gehriga jest nieuleczalna, absolutnie nieuleczalna, śmierć następuje po paru latach. W najlepszym wypadku, bo zależy, na jakim etapie zostaje zdiagnozowana. Oczywiście jest kilka innych opcji. – Powstrzymałem gestem otwierającą usta Wikę. – Zobaczymy. Tyle że wydają się dużo mniej prawdopodobne niż ALS: tarczyca, zatrucie metalami ciężkimi. Ale... – Nie dokończyłem, zacisnąłem pięści.

Wziąłem głęboki oddech, wypuściłem ze świstem powietrze.

– Mniejsza z tym – mruknąłem. – Wielecka dowiedziała się skądś o chorobie Małgorzaty i zaczepiła mnie wczoraj w dziekanacie. Wyraziła nadzieję, że nie jest to nic poważnego, na przykład choroba Lou Gehriga... Wszystko to z uśmieszkiem obleśnej satysfakcji. Dla postronnych mogło to wyglądać, i pewnie wyglądało, na troskę o zdrowie mojej żony. No więc nie wytrzymałem i strzeliłem ją w pysk. Publicznie.

– To wszystko? – zdziwił się Maks. – Chyba trochę za mało, żeby wysłać oddział antyterrorystyczny.

– Nie wszystko. – Spuściłem wzrok. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem taki wściekły, zupełnie przestałem się kontrolować. Pojechałem... Pojechałem do jej domu, Wielecka mieszka za miastem. Wziąłem ze sobą sprzęt.

– To znaczy? – spytał z niepokojem Davidoff.

– Piłę mechaniczną.

– *Gospodi pomiłuj*... – wymamrotał, blednąc.

– Spokojnie, nie jestem wariatem! A przynajmniej nie do końca – mruknąłem. – Wyciąłem tylko drzewka wokół domu. Chwaliła się kiedyś, że to jakieś specjalne, wyjątkowo drogie. Niestety...

– Tak? – Maks uniósł brwi.

– Dopiero po fakcie zauważyłem kamery.

Maks z roztargnieniem postukał w poręcz fotela, Davidoff otarł pot z czoła.

– Jednak ten rajd antyterrorystów... – pokręciła głową Wika.

– Nie, nie, teraz wszystko jest jasne – zapewnił ją Maks. – Naciągnęli przepisy do granic możliwości, ale mieli pretekst. Sfilmowanego maniaka z piłą mechaniczną. Biorąc pod uwagę udział Janusza w akcji w Nikołajewsku...

– Mimo wszystko to dziwne – stwierdził Davidoff. – Normalnie nie można się doczekać na reakcję policji, a tutaj byli szybsi niż błyskawica.

– To rykoszet zupełnie innej sprawy – odparł Maks. – Zadzwoń do Dżumy – polecił mi szorstko.

Zmartwiałem. Oleg Dubrow, nazywany przez wrogów „Dżumą", był pułkownikiem Specnazu i bratem kobiety, którą kiedyś kochałem. Nie sądziłem, że mógłby stanąć przeciwko mnie. Być może jednak zabrakło mi wyobraźni...

– Jest w to w jakiś sposób zamieszany, ale chyba nie tak, jak myślisz – mruknął Maks. – Nie miałem czasu długo z nim gadać.

Wielka mi pociecha... Z drugiej strony rzeczywiście nie wyglądało to na robotę Dżumy: cała akcja spaliła na panewce, a cel – jakikolwiek by był – nie został osiągnięty. Oleg Dubrow nie popełniał takich błędów.

Podniosłem się ze stęknięciem z krzesła i ruszyłem do pokoju, machnięciem ręki dałem do zrozumienia, że chcę być sam. Nie posłuchała mnie tylko Małgorzata.

– Nie przewrócę się – zapewniłem ją ponuro.

– Świetnie, ale dopóki nie porozmawiamy, nie mam zamiaru spuścić cię z oczu.

Zamknęła za mną drzwi i wymownym gestem podała telefon.

– Dzwoń – rozkazała.

Przez chwilę wpatrywałem się w komórkę, jakby mogła mnie ukąsić. Nie ma co ukrywać – bałem się. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak wielką wagę przywiązywałem do przyjaźni okazywanej mi przez brata Anny.

Zacisnąwszy zęby, wprowadziłem znany na pamięć numer, podniosłem telefon do ucha. Odebrał niemal natychmiast.

– Podobno możesz mnie oświecić, co się dzieje – rzuciłem bez ogródek.

– Za chwilę – odparł. – Jak się czujesz? Co z Margaritą?

Poinformowałem go krótko o swoich obrażeniach.

– Margarita?

– Oberwała tylko po buzi – powiedziałem. – Nic jej nie jest.

W kilku zdaniach zrelacjonowałem, co się stało.

– *Wot suki!* – warknął. – Mam ochotę...

– Ani się waż! – poleciłem stanowczo.

Ulżyło mi, reakcja Olega wskazywała, że nie miał nic wspólnego z zajściem, ale ostatnie, czego mi było trzeba, to interwencja Dżumy. Oleg Dubrow nie uznawał półśrodków, a w Polsce obowiązywały nieco inne standardy niż na wschód od Bugu. Tam parę trupów nie robiło na nikim wrażenia.

– Może przejdźmy do rzeczy? – zaproponowałem.

– W porządku, pamiętasz tę ofertę sprzed miesiąca? Zaproponowano ci pracę.

– Rzeczywiście, przypominam sobie. Jakiś zwariowany Rusek kazał mi podpisać papiery o zachowaniu tajemnicy, robił dziwaczne aluzje...

– Pogoniłeś go – Dżuma wszedł mi w słowo.

– Pogoniłem.

– To był asystent, jeden z asystentów, Michaiła Biełowa. Powiedział ci, kogo reprezentuje?

– Chyba tak – przyznałem z wahaniem. – Nie zwróciłem na to uwagi.

– Kretyn.

– Ten facet?

– Nie, ty – doprecyzował. – Biełow to najbogatszy biznesmen w Rosji.

– To ma mną wstrząsnąć?

Przez chwilę słyszałem tylko spokojny oddech Dżumy.

– Półtora miesiąca temu porwano córkę Biełowa. Okoliczności były... niezwyczajne. Do tej pory nikt się nie odezwał, nie zażądał okupu. Wszystkie służby i wynajęci przez Biełowa ludzie zrobili, co mogli, ale rzecz nadal pozostaje niewyjaśniona. On jest dość... zdesperowany. Na tym etapie to nie jest sprawa dla służb specjalnych, choć oczywiście trwają pewne czynności. Niemniej

jednak wątpię, żeby przyniosły efekt. W dodatku nie ulega wątpliwości, że z terrorystami musiał współpracować ktoś z najbliższego otoczenia Biełowa. Facet nie wie już, komu ufać. No i tu wypłynęła twoja kandydatura. Jako Chorąży jesteś poza wszelkim podejrzeniem, a ponieważ posiadasz pewne umiejętności...

– Były Chorąży – uściśliłem.

Nie jestem specjalnie religijny, jednak fakt, że przez krótki czas dysponowałem artefaktem zwanym chorągwią Michała Archanioła, odcisnął na mnie wyraźne piętno, nie wiedzieć czemu skłaniał do pokory.

– Co się stało?

– Zabili kilka osób, dziewczyna miała ochronę – wyjaśnił. – To byli ludzie z najwyższej półki. Znałem ich osobiście.

– To nie moja liga, nie jestem...

– Przestań marudzić! – Dżuma wszedł mi bezceremonialnie w słowo. – Nie potrzebujemy twoich umiejętności operacyjnych. Jak obaj wiemy, nie są one oszałamiające – dodał złośliwie. – To porwanie wiąże się z pewną sprawą sprzed ponad pół wieku, trzeba przeszukać archiwa, być może popracować... koncepcyjnie. Do tego się nadasz. Co więcej, kiedy się za to weźmiesz, Biełow przestanie nam skakać po głowach.

– Nam?

– Specnazowi i służbom specjalnym. Obecnie nasza robota jest pozbawiona sensu, bo nie znamy celu. Inwigilujemy podejrzanych, podsłuchujemy ich rozmowy, przeglądamy komputery, jednak chyba nie tędy droga. Jeśli zaliczyli choć podstawowe przeszkolenie, niczym się nie zdradzą. A trupy, jakie za sobą zostawili, i fakt, że porwali córkę Biełowa, sugerują, że są dobrzy. Więcej niż dobrzy.

Potrzebujemy kogoś, kto spojrzy na to z innej strony, potrafi poruszać się w archiwach, korzystać z dokumentów. No i z grubsza zna procedury...

– Mówisz o Biełowie, jakby ten facet był nie wiadomo kim.

– Ujmijmy to tak... – Dżuma zawiesił na moment głos. – Gdyby poprosił o eskadrę bombowców, armia spytałaby go tylko, czy nie potrzebuje do kompletu paru myśliwców.

– Ale przepisy...

– *This is Russia!*

Zamilkłem.

– Naprawdę jest taki mocny? – podjąłem po chwili.

– Naprawdę.

– Miał coś wspólnego z tą akcją policji?

– Kazał asystentowi załatwić sprawę, zachęcić cię, a ten nieźle namieszał. Postanowił cię przycisnąć. Ta twoja była flama... jak jej tam? Wielecka?

– Niebyła – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Aha, znaczy słucha nas Margarita? – domyślił się mój rozmówca. – Przekaż jej pozdrowienia... Więc Wielecka była kochanką dowódcy oddziału, który po ciebie wysłano. Umyślili sobie, że przy okazji... jak to się u was mówi? Upieką własną pieczeń. No i się porobiło.

– Mam rozumieć, że jeśli nie przyjmę oferty, następnym razem podpalą mi dom? – spytałem ponuro.

– Nie sądzę. Wyjaśniłem Biełowowi... niuanse. Jesteś ostatnim człowiekiem, którego chciałby wkurzyć, lecz pamiętaj, że nie rozumuje logicznie. Porwano mu dziecko.

– Jeśli z nim gadałeś...

– Nie jestem Panem Bogiem wszechmogącym – odparł ze złością Dżuma. – A Biełow jest przyzwyczajony,

że dostaje, czego chce. Wywalił na zbity pysk tego asystenta i raczej porzuci tego typu perswazję, ale pewności nie mam.

– Mam pracować dla człowieka, który zorganizował napad na mój dom?! Który...

– Przestań marudzić! A co będziesz robił? Wrócisz jakby nigdy nic na uczelnię? Jak się zdaje, nie masz tam chwilowo najlepszych notowań i nie wiadomo, czym ta cała awantura się skończy. Zachowujesz się jak czterolatek. Chciałbyś mieć, bo ja wiem, sto kilogramów złota w sztabkach?

– Pewnie, kto by nie chciał? A co? Tyle płaci?

– Nie, nie aż tyle, chociaż z pewnością nie będziesz stratny finansowo. Miałem na myśli co innego: jeśli mu pomożesz, będzie ci winien przysługę. Facet oczywiście nie jest dziewicą, jak i inni biznesmeni działający na takim poziomie, jednak dotrzymuje słowa i spłaca swoje długi.

Odchrząknąłem niepewnie.

– Niewykluczone, że jest w Rosji kilka osób, które mogą więcej od Biełowa, ale ja znam tylko jedną, rozumiesz, nie zajmuję się polityką – kontynuował.

– Któż jest ową gwiazdą?

– Władimir Władimirowicz Putin.

Otworzyłem usta, aby mu zwrócić uwagę, że to nie pora na głupie dowcipy, lecz dopiero teraz dotarł do mnie ton głosu Dżumy. Oleg nie żartował.

– Zastanowię się – obiecałem.

Pożegnaliśmy się krótko, odłożyłem telefon i podszedłszy do okna, zapatrzyłem w podchodzące niemal pod sam dom drzewa. Odetchnąłem głęboko, starając się nie forsować uszkodzonego żebra. Dżuma dał mi do my-

ślenia – rzeczywiście moja obecna sytuacja na uczelni nie wyglądała różowo. Groziło mi zwolnienie z pracy.

– Chyba najlepiej będzie, jak sam złożę wymówienie – powiedziałem w przestrzeń.

– Musimy o tym porozmawiać, o paru innych sprawach też – stwierdziła stanowczo Małgorzata.

– W takim razie chodźmy na spacer.

– W twoim stanie...

– Nic mi nie będzie – uciąłem. – A tutaj nie da się spokojnie pogadać.

– Dlaczego? – Zmarszczyła brwi.

– Dlatego. – Otworzyłem gwałtownie drzwi i wskazałem plecy uciekającej Wiki.

– Myślisz, że one...

– Nie myślę, wiem.

Narzuciłem na siebie jakieś ciuchy, wyszliśmy na zewnątrz. Mimo października było ciepło, liście na drzewach przyciągały wzrok żywymi, nasyconymi barwami, pojedyncze opadały na ziemię, tworząc osnowę jesiennego, szeleszczącego pod nogami kobierca. Zza naszych pleców, przez uchylone okno dochodził cichy świergot radia, grali „Tango Jalousie". Rozpoznałem stare nagranie Leo Reismana. Niespodziewanie Małgorzata przytuliła się do mnie, położyła dłoń na ramieniu, zakołysaliśmy się w tańcu. Na chwilę weszliśmy we własny, intymny świat, porzuciliśmy rzeczywistość. Czułem ciepło ciała i zapach włosów Małgorzaty, zapomniałem o zmartwieniach. Na chwilę.

Zatrzymaliśmy się jednocześnie, delikatnie musnąłem jej ramię, odsunąłem na krok.

– Margarita, ja... – urwałem, niepewny, co powiedzieć.

– Mam do ciebie prośbę – szepnęła.

– Zrobię wszystko, co zechcesz – zapewniłem.

– Słowo?

– Słowo.

– W zasadzie dwie prośby – doprecyzowała, spoglądając na mnie kokieteryjnie spod opuszczonych rzęs.

Wyglądało na to, że nie ma zamiaru winić mnie za całe zamieszanie. Najwyraźniej wyrozumiałość Małgorzaty dorównywała mojej głupocie.

– Tak?

– Chcę, żebyś pojechał do Rosji, zgodził się na propozycję tego Biełowa, a co do uczelni przekażę po prostu twoje zwolnienie lekarskie.

– Co takiego?! Mam cię zostawić, gdy jesteś chora?! Gdy...

Stłumiła moje słowa, kładąc mi palce na ustach.

– Nie mam ALS – powiedziała twardo. – To tylko twój strach. Nie, nie przerywaj mi! – poprosiła. – Wiem, że czujesz się winny, ale ja jestem więcej niż zadowolona z tego, co się stało.

Osłupiałem.

– Cieszysz się, że banda kretynów rozwaliła drzwi i nas poturbowała?! – spytałem z niedowierzaniem.

– Cieszę się, że poznałam cię bliżej, twoje... – zastanowiła się przez moment – uczucia. Nie gniewaj się, kochanie, ale ty nie potrafisz o nich rozmawiać, byłam już w rozpaczy, myślałam, że mnie nie kochasz.

– Ale przecież naraziłem cię...

– Popełniłeś błąd – przyznała. – Dałeś się podpuścić tej dziwce. Jednak trudno, żebym się martwiła tym, że ci na mnie zależy na tyle, żeby zlekceważyć wszelkie konwenanse i zaryzykować utratę pracy. Nie mówiąc już o sprowokowaniu tego policjanta, który mnie uderzył. Szczerze mówiąc, jestem szczęśliwa jak nigdy dotąd.

– Chyba potrzeba mi chwili, żeby się otrząsnąć z zaskoczenia – wymamrotałem, siadając pod rozłożystym bukiem. – A może i dwóch chwil...

Małgorzata zachichotała i usadowiła się tuż obok. Spojrzałem jej w oczy – rzeczywiście promieniała.

– Mam zwolnienie tylko na dwa tygodnie – zacząłem od najmniej ważnej sprawy. – Później i tak będę musiał zameldować się na uczelni.

– Wątpię, żebyś tak szybko rozwiązał ten... problem w Rosji, musisz mieć zwolnienie na miesiąc albo dwa – odezwała się z namysłem.

– Więc?

– Znam lekarza, który je przedłuży – wyjaśniła. – Nie, żadnych wykładów na temat wystawiania lewych papierów! – ostrzegła. – To jest sytuacja nadzwyczajna, a ty musisz nauczyć się pokory – oznajmiła, łagodząc swoje słowa pocałunkiem.

– Pokory?!

– Jesteś strasznie arogancki – wyjaśniła. – Uważasz, że takie sztuczki są poniżej twojej godności, ale tym razem je zastosujesz. No i przyjmiesz pomoc od żony.

– Jaką pomoc?! Zwolnienie to drobiazg, lecz nie pozwolę, żebyś uwikłała się w walkę z Wielecką. Tym bardziej że wszelkie atuty są po jej stronie.

– Tak ci się tylko wydaje – odparła.

Mówiła niemal szeptem, jednak w jej głosie zadźwięczała stal, wyglądała na zdeterminowaną. No proszę, gdzie się podziała łagodna żoneczka? A może moje wyobrażenia na temat Małgorzaty niekoniecznie odpowiadały prawdzie?

Podniosłem się ze stęknięciem, skinąłem w stronę domu.

– Wracajmy – zaproponowałem. – Czas coś zjeść.

Z ponurą miną wypiłem jakiś mętny płyn – efekt fascynacji Maksa wschodnią medycyną – poprawiłem pięćdziesiątką alchemicznej wódki. Jeśli nie pomoże, to raczej nie zaszkodzi. Cały czas czułem na sobie rozbawiony wzrok wujka. Dokończył cygaro i odłożywszy niedopałek na popielniczkę, mruknął zachęcająco.

– O czym chcesz pogadać? – zapytał wreszcie, gdy nie doczekał się odpowiedzi.

Oderwałem wzrok od jedwabnej, secesyjnej tapety – Maks miał luksusowe upodobania i dość pieniędzy, aby spełniać nawet najbardziej ekstrawaganckie zachcianki – wzruszyłem ciężko ramionami.

– Margarita chce, żebym wyjechał do Rosji i pozwolił jej rozprawić się z Wielecką.

– W czym problem?

– Nie chcę, żeby narażała swoją karierę, no i nie mogę jej opuścić, kiedy jest chora, to chyba jasne? – burknąłem.

– Jeżeli to ALS, to fakt, czy przy niej będziesz, czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia. Mówię o tygodniu albo dwóch – zastrzegł od razu.

– A co potem?

– Przyjedzie do ciebie. Jeśli to coś innego, nie ma w ogóle o czym mówić.

– Może mieć atak, może...

– Na razie tylko drżą jej ręce i jest osłabiona, to wszystko – przerwał mi Maks. – Wika z nią zamieszka. Już się zgodziła, będzie ją nawet wozić do pracy.

– A Wielecka? Znam ją, to suka. Małgorzata nie ma z nią żadnych szans.

– Kim jest Margarita? – odpowiedział pytaniem.

– Nie rozumiem?

– Napisała pracę habilitacyjną w wieku dwudziestu siedmiu lat, została profesorem nadzwyczajnym, mając dwadzieścia dziewięć. Ubiegają się o nią największe, najbardziej znane uczelnie w Europie i Stanach. W swojej branży uchodzi za geniusza. Naprawdę myślisz, że Wielecka może jej zaszkodzić? – Parsknął zdegustowany. – Jeśli Margarita tupnie nogą, uczelniane władze nie tylko darują ci ten ostatni wybryk, ale i pozwolą, abyś na wykłady przyjeżdżał nago i na wrotkach... A ona najwyraźniej ma ochotę tupnąć. Pozwól jej to zrobić, na pewno da sobie radę.

Przysunął sobie pudełko cygar, wybrał jedno i przyciąwszy, wcisnął mi w dłoń, podał ogień. Przez chwilę gapiłem się bezmyślnie na płonącą zapałkę w silnych palcach Maksa, w końcu zapaliłem cygaro. Wujek doskonale wiedział, że nie palę, gdy jestem zdenerwowany – sam mnie tego nauczył – stąd miałem wrażenie, że to kolejna lekcja. Wyglądało, że moje otoczenie uwzięło się, aby mnie w przyspieszonym tempie edukować. Najpierw Małgorzata, teraz Maks...

– Rozumiem, że to sytuacja nadzwyczajna, wyjątek od reguły? – spytałem, wykonując nieokreślony gest.

– Chodzi ci o zamiary Małgorzaty czy o cygaro? – Uniósł brwi z udanym zdziwieniem.

Spojrzawszy na moją naburmuszoną minę, parsknął śmiechem.

– Chcesz rady?

– Proszę, nie krępuj się – mruknąłem.

– Przegrałeś, Margarita i tak postawi na swoim, doprowadzi do starcia z Wielecką. Poddaj się z wdziękiem i wyciągnij z tego wszelkie możliwe korzyści.

– Korzyści?!

– Zgadzając się na jej prośbę, możesz postawić pewne warunki...

– Jeśli pozwolę jej zrobić, co chce, wyjadę, a ona nie powie mi prawdy na temat wyników badań...

– Na pewno cię nie oszuka, nie ma mowy! – Maks pokręcił głową. – Mogłaby coś pominąć z troski o ciebie, ale nigdy nie okłamie cię wprost. Nigdy – zapewnił. – Jesteś dla niej zbyt ważny. Bałaby się, że straci bezpowrotnie twoje zaufanie.

Siedzieliśmy w milczeniu dłuższy czas, musiałem przemyśleć wszystkie opcje, a wujek nigdy nie był zbyt gadatliwy. Rozparł się w fotelu i z zadowoleniem delektował kolejnym cygarem, tak jakby nic innego go nie rozpraszało, jak gdyby liczyła się tylko chwila obecna, tu i teraz. Zacisnąłem zęby – jeśli nie zapanuję nad swoim lękiem o żonę, nie przysłużę się nikomu, również Małgorzacie. Ostatnie, czego jej trzeba, to trzęsący się nad nią facet. Nawet jeśli to ALS. A może szczególnie wtedy. Gdybym był śmiertelnie chory, wolałbym przeżyć kres dni intensywnie, bez taryfy ulgowej, realizując tyle marzeń, ile bym zdołał. Problem w tym, że nie chodziło o mnie... No dobrze, a jeśli to nie jest choroba Lou Gehriga? Co będzie, jeśli Małgorzata poczuje się dotknięta tym, że w nią nie wierzę? Jak będą wyglądały nasze następne lata? Czy dam radę kiedykolwiek to naprawić? Zabębniłem palcami o stół – Maks miał rację, tak naprawdę nie miałem wyjścia, musiałem schować swój strach tak głęboko, aby nikt go nie spostrzegł. Nikt poza mną. Ja będę nosił go w so-

bie cały czas, niczym ciężką, kolczastą kulę gdzieś w głębi trzewi. No, to akurat nic nowego, dam radę...

– Wiesz – odezwał się znienacka wujek – ten policjant, dowódca grupy, ma trzeci dan w karate.

Poczułem, jak bez udziału woli moje usta rozszerzają się w ponurym, bezradosnym uśmiechu, znowu pękły jakieś strupy, ale nawet nie poczułem bólu. Nadnercza pompowały do krwi adrenalinę, dużo adrenaliny.

– Wstrząsające – stwierdziłem.

– Traktujesz kobiety w sposób anachroniczny. To moja wina, jestem taki sam i tak cię wychowałem – przyznał. – Margarita to nowe pokolenie, nie zgodzi się na stosowanie podwójnych standardów. Jeśli zdecydujesz się na załatwienie sprawy z tym gliniarzem, no, teraz właściwie już byłym gliniarzem, a zabronisz jej rozprawić się z Wielecką... – urwał wymownie.

– Pozwolę jej pokotłować się z Wielecką, a sam wyjadę do Rosji – odparłem ze znużeniem. – Jutro pogadam z tym Biełowem.

– Nareszcie rozsądna decyzja!

– Musisz mi przyrzec, że będziesz kontrolował sytuację i w razie czego natychmiast zadzwonisz – zażądałem.

– Chodzi ci o bezpieczeństwo Margarity czy wyniki badań?

– Raczej to drugie, pierwszą kwestią sam się zajmę.

– Nie ufasz jej?

– Ufam, ale muszę mieć pewność, absolutną pewność, że o wszystkim zostanę poinformowany dokładnie i na czas. Nie chcę się zastanawiać, czy moja żona nie postanowiła oszczędzić mi zmartwień i o czymś nie powiedziała.

– W porządku, zrobię to – obiecał.

ADAM PRZECHRZTA

BIAŁE NOCE

Janusz Korpacki naprawdę próbuje ułożyć sobie życie. Z dala od sił specjalnych, tajnych akcji i świętych relikwii.

Zaginęła Luda Biełowa – córka człowieka tak potężnego, że liczy się z nim sam Władimir Putin. Ktoś wszedł do posiadłości, dezaktywował systemy alarmowe i wybił do nogi ochronę. Ludę chronili najlepsi chłopcy ze Specnazu, a jednak porywacz pozostawił za sobą tylko stygnące ciała z powyrywanymi sercami.

Gdy człowiek taki jak Biełow znajduje się w potrzebie, nie można wątpić, że wszystkie służby zrobią, co tylko w ich mocy, a nawet więcej, by rozwiązać jego problem. Niestety, tym razem sytuacja wydaje się całkowicie beznadziejna. Pomoc dyspozytariusza chorągwi wydaje się ostatnią nadzieją. Propozycja nie do odrzucenia uświadamia Januszowi Pawłowiczowi, że przeszłości nie da się tak po prostu zostawić za sobą i żyć dalej, jakby nigdy nic nie zaszło.

fabryka słów
WYDAWNICTWO
fabrykaslow.com.pl
/fabryka
/fabrykaslow